

TYMCZASEM W POLSCE

Tomasz Węcki

No i co z tego, że śmierdzę? Śmierdę, bo się nie myłem. Ty śmierdzisz, bo masz na plecach trupa.

Człowiek, któremu to mówię, patrzy na mnie jak na wariata. Znam to.

Trup to stara kobieta. Wątle ramiona zaciska wokół szyi mężczyzny i trzyma kurczowo, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Wymieniamy się spojrzeniami, ona i ja.

– Zostaw go – mówię. – Przecież nie wie, że go dusisz.

Ale duch nawet nie odpowiada. Zamiast tego wystawia zielony język spomiędzy wyschniętych warg.

– Pierdolę. Po prostu się wymyj – rzuca mężczyzna. Niczego nie widzi. Odwraca się i odchodzi na drugi koniec tramwaju. Ciągnie trupa za sobą. Zastanawiam się jak to jest, całe życie z takim ciężarem.

Na przystanku wychodzę. Ludzie gapią się na mnie dziwnie. Mam to w dupie. Mam w dupie ich wszystkich, od kiedy odkryłem sznurki, którymi są sterowani. To tylko marionetki.

Niedaleko jest skwer, więc tam siadam, na ławce pod drzewem. Mam dobry widok na ulicę i wszystkich, którzy się śpieszą. Nie każdy z nich to człowiek. Niektórzy to jaszczury. O tym jednak nikomu nie mówię. Kiedyś próbowałem i zamknęli mnie w zakładzie. Dawali wtedy piguły, po których nie szło myśleć. O to im chodzi, jaszczurom – żeby nikt nie umiał ich przejrzeć. A ja nie jestem bohaterem, nic mnie to nie interesuje. Niech sobie łążą, padlinożercy. Udaję, że nie patrzę.

Bo ludzie też nie są lepsi. Kiedy mówisz im, że widzisz Matkę Boską, Jezuska albo Palec Boży, to wszystko w porządku. Cud – wołają. Nawet jak nie, to przynajmniej na piwo dadzą. Ale jak chcesz powiedzieć, że bliskiego zeżarł jaszczur i zajął jego miejsce, to już nie chcą słuchać. Wariat. Świr. Ówir, ćwir.

Pstrykam placami i światła zmieniają się na zielone. Samochody ruszają jak psy zerwane z łańcucha.

Czasem czuję się niczym bóg. Ale wtedy przypominam sobie, że mnie też zaczepili na rękach sznurki, zrobili ze mnie kukielkę. Mówią: tańcz do muzyki! Tańcz! A tak ciężko, kiedy ruchy nie twoje, kiedy wszystko chce wejść do głowy i zrobić swoje porządki. Tak jak tym policjantom, co blokują drogę. Z daleka wyglądają jak ludzie, z tymi sznureczkami prosto do niebios. Ale jak ktoś się przyjrzy – o, jak ktoś się przyjrzy! – to widać wszystko. Widać te glisty, co im do uszu weszły. Widać te cienie, co się w oczach zaległy.

Z głową trzeba uważać! Bo każdy tam sadzi paluchy. Pani, co chleb sprzedaje – oddaje czerstwy za darmo, ale tylko jak do niej grzecznie coś powiedzieć. Kiedy boli i można tylko krzyczeć, nic nie dostaniesz. Nic. Nie należy się. Szacunku trochę! A siostry od zupy każą modlić się do boga. Bo dobry jest i kocha wszystkich, więc zupa będzie po modlitwie. Bez modlitwy jej nie będzie. I paluchem pod czaszkę! I dalejże, majtać tam po swojemu! Śni mi się, że ten mózg rozbełtany wypływa przez nos – i wtedy dopiero mam święty spokój.

A tymczasem kiszki marsza grają.

Podnoszę dupę, bo czuję, jak zaczęła korzenie zapuszczać. Przez ulicę, przez plac – i jestem przy budce z hot dogami. Tam w środku baba siedzi i łypie krzywo. Myśli sobie, że będę się naprzykrzać. Widzę to, bo widzę myśli ludzkie.

– Da pani bułkę – naprzykrzam się. Co mam jej zawód sprawiać?

– Nie – odpiera. – Idź sobie.

– Ale bułki takie dobre! – próbuję. – Jak cycuszki! – rzucam i już widzę, że nie tędy droga.

– Idź stąd, dziadu! Bo policję wezwę!

Zła kobieta. Zła kobieta to jest. Zło jej przytłacza mnie, aż kulę się i nie potrafię ruszyć. Krzyczy coś jeszcze, a ja zamieram z głupkowatym uśmiechem.

– Słyszałeś panią? Wypierdalaj! – wtrąca się klient budki. To łysy olbrzym, w barkach dwa razy szerszy ode mnie. Siedzi na ogrodowym krzeselku, ale tak, jakby zaraz miał się poderwać i lać po pyskach. Napina się, napina, a tatuaż na jego odsłoniętym ramieniu wywija swawole. Wpierw wydaje mi się, że to smok, wąż jakiś, co płacze się w zwojach własnego cielska. W końcu jednak widzę, że nie – to dziewczyna w długiej sukni. Ognista aureola płonie wokół głowy, a niebieski materiał mota się w grube węzły. W prawo, w lewo, w prawo – i do góry. Ruch kresek znaczących jej figurę skrywa tajemnicę, którą, jestem pewien!, dałbym radę odkryć...

– Twoja panna robi taniec brzucha – zauważam trzeźwo, bo nikt nie skupia się na najważniejszym.

– Co takiego?! – Łysy wstaje wreszcie.

– Brzucha taniec, połamaniec, zesraniec, jebaniec – wyjaśniam. I tak nie kuma. Orientuje się jednak, że patrzę na tatuaż.

– To – mówi z emfazą. – To jest Matka Boska, skurwysynu.

Robi krok ku mnie i wtedy widzę wyraźnie jak czarna sierść rozrasta mu się spod pach. Wychodzi spod podkoszulka na szyję i ramiona, kręcone włoski oblepiają twarz. Pysk raczej. Gdzie były usta, jest zębata paszcza, gdzie były oczy, są wściekłe ślepia. To nie człowiek. To wilk w ludzkiej skórze.

Rzucam się pędem, byle dalej. Bestia za mną. Szuranie pazurów po bruku, tuż za plecami. Goni mnie aż do parku, gdzie padam w krzaki. Już myślę, że to koniec. Drapnie po krzyżu, chwyci za gardło. Ale nic. Spokój. Tylko po drugiej stronie ulicy – głośny śmiech.

Leżę jednak niepewnie, bo kto to wie, co jeszcze na mnie skoczy. Leżę, leżę, ale nic się nie dzieje. No to podnoszę wreszcie głowę.

I słyszę jak ktoś śpiewa, cały tłum ludzi. Poznają melodię: „Rota”. Wzniośle, dumnie. Niczym w kościele. Ale ze słowami coś nie tak. Płaczą mi się w głowie jak makaron.

Nieeee rzucim zieceemi skąd nasz bród...

Nie daaamy podejść meeewy?

Wstaję, bo głupio tak się w trawie tarzać, kiedy uroczystość obok. Idę na ulicę. A tam widać już po co policjanci blokowali przejazd. Środkiem jezdni kroczy demonstracja pod biało-czerwonymi sztandarami. Przodem staruszkowie, niektórzy w kombatanckich mundurach, z medalami ciężącymi na piersiach. Potem młodszy, głównie mężczyźni. Z początku wydają mi się wielkim tłumem, takim co rozlewa się po ulicach jak rzeka. Tyle że większość z nich to nie ludzie. Między żywymi idą duchy. A im głośniej ci pierwsi śpiewają, tym więcej przybywa drugich. Błady husar staje obok starowinki w czarnym płaszczu. Zakrwawieni powstańcy między młodzieżą z ONR.

– No patrz na to. Patrz, jak ich pojebało – słyszę z boku. Myślę, że to do mnie, ale nie, to mąż do żony. Para w sile wieku, dobrze ubrani ludzie na spacerze. – Katotaliby. No patrz na ten cyrk. Pieprzeni naziści. I policja stoi, pilnuje, zamiast

pogonić do diabła...

– Zygmunt, nie denerwuj się – mówi kobieta. – Masz chore serce.

– Pieprzona dyktatura kleru. Teraz każdy może wyleźć na ulice, tylko nie normalny człowiek. Pamiętasz? Miesiąc temu. Była demonstracja związku zawodowego pracowników ZUS... Pracowników ZUS! Za czym oni demonstrują?! Jeszcze większe składki mam płacić?!

– Zygmunt...

– Co Zygmunt?! Jak mam się nie denerwować, skoro tacy idioci rządzą! Jak się nie denerwować?! Przecież to wszystko złodzieje! Kto za to płaci? Kto?! Ja płacę! My płacimy! To nas okradają!

Krzyki męczyzny mnie też wprawiają w nerwowy nastrój, więc zerkam na park i krzaki. Patrzą tak mocno, że aż widzę, jak liście trzęsą się, jak gałęzie rozchyła od środka coś wielkiego. Idzie po mnie! Jednak! Nie ma czasu, żeby tak sterczeć jak kołek – wbiegam na ulicę. Duchy mniej straszne.

Tłum niechętnie wpuszcza mnie w swoje objęcia. Kobiety łypią podejrzliwie spod moherowych beretów. Mężczyźni zerkają jak na intruza. Ale wtedy czuję na ramieniu zimny ciężar. To dłoń zjawy, odzianego w czarną zbroję rycerza. Trup nachyla się i szepcze mi do ucha słowa „Bogurodzicy”. Nie potrafię się powstrzymać – powtarzam wszystko z taką mocą, z jaką śpiewano pod Grunwaldem. Dźwięk roznosi się po ulicy, odbija od ścian budynków. Wtórują mi duchy, dodając własne, nieziemskie akordy. Ani się spostrzegę, jak i żywym się udziela.

Pieśń łączy nas w jedność. Aż trudno mi w to uwierzyć, bo dawno nie czułem się częścią czegoś większego. Zawsze sam, zawsze na boku. Nie teraz.

Wszystko kończy się jednak równie nagle jak zaczęło. Ludzie przestają śpiewać, a zamiast tego nad ich głowami rozbrzmiewa megafon:

– Nasze państwo! Nasza wspaniała, niepodległa Polska! Ukradli nam ją! Złodzieje i zdrajcy! Ukradli nam kraj! Musimy odzyskać to, co nasze! Co naszych ojców!...

Litania wykrzykników trwa w najlepsze, ale demonstranci chyba słyszeli to wszystko już wcześniej. Nie uważają, zaczynają prowadzić własne rozmowy.

– Teraz każdy może wyjść na ulice – pada z ust staruszki nieopodal. – Moja droga, miesiąc temu pod oknem maszerowały mi te zbereźniki, bezboźniki, jak oni... Geje?... Teraz ludzie nie mają szacunku. Policja ich tylko pilnowała, a pogonić powinni jak psów...

– ...A co ZUS? – wpada mi w ucho strzęp innej konwersacji. – ZUS to może nie Żydzi? Oni wszyscy złodzieje są. Kto za to płaci? Kto?! My płacimy. Nas okradają!

Co ja zrobiłem? Czemu tu przyszedłem? Widzę te wszystkie myśli ludzkie, jak się kłębią, jak lgną do mnie, jak wciskają się w otwory mojego ciała. Te paluchy, które do głowy chcą wepchnąć, mózg wybełtać. Nie mogę, nie mogę tego...

Ale wtedy znów czuję dotyk zmór. Znów zaczyna się śpiew. Znów znikam, topnieję, przestaję być sobą. Przestaję być sam.

I nagle rozumiem. Tak naprawdę istnieje tylko pieśń. Wszystko, co pomiędzy, to interludia, przerwy na nabranie oddechu, momenty bez znaczenia. Po to właśnie przybyły duchy – aby kontynuować śpiew rozpoczęty za życia. One mogą istnieć tylko dla niego. Nie potrzebują oddychać.

Ja jednak ciągle mam sznureczki na rękach, ciągle czuję zmęczenie, głód,

wszystkie trudy istnienia. Przerывam więc tak jak wszyscy i zaczynam, gdy i oni zaczynają. Pozwalam ich myślom płynąć przeze mnie, choć to boli. Śpiewam w kółko, do wieczora, aż w końcu ulica pustoszeje, protestanci rozchodzą się na wszystkie strony i nie mam już chóru, żeby się nim wesprzeć.

Duchy nie opuszczają mnie jednak. Idą ślad w ślad, dopóki podtrzymuję ich pieśń. Uczciwie, na całe gardło. Prę więc. Drę się wniebogłosy. Ludzie, których mijam, nie byli na demonstracji. Patrzą na mnie dziwnie – ale kiedy patrzyli inaczej?

Wreszcie wszystko siada i zamiast słów z ust wypływają mysie piski. Muszę skończyć, ale czuję się świetnie. Dawno nie było mi tak dobrze. Wiem teraz, że to wszystko ułuda, te krzywe uśmieszki, to pokazywanie palcami, ten jad, który przelewa się z człowieka na człowieka. To tylko ściema, bo naprawdę jesteśmy jednością. Jesteśmy tacy sami.

– To ten pojeb, o którym wam mówiłem. Ej, ciulu! – ostre słowa płaczą moje myśli.

Aż podskakuję, kiedy zauważam, kto je wypowiedział. To wielkolud od budki z hot dogami. Tym razem w ludzkiej formie. Nogi pamiętają strach lepiej niż głowa, więc rzucają się do ucieczki. Dwóch jego kolegów zastępuje mi jednak drogę. Łapią pod ramiona i trzymają jak w imadle.

– Patrz jak się rzuca. Zesra się zaraz – rechocze jeden.

– Skurwysynu, chodzisz po mieście i robisz podśmiechuje z prawdziwych Polaków. Z Matki Boskiej – olbrzym wskazuje tatuaż, gdzie dziewczyna ciągle czyni swoje wygibasy. – A za to dostaje się wpierdol.

Chcę mu powiedzieć, że nie trzeba. Po co ma się męczyć? To wszystko tylko chwila, bez konsekwencji. Chcę mu to powiedzieć – ale nie wiem jak. Zaczynam więc śpiewać, mimo zmęczonego gardła. Niech zrozumie. Niech sam zobaczy.

Boogurooodzica, dziewica, Bogiem słaawieeenaaa...

Cios w szczękę burzy mi rytm. Ból paraliżuje. Ledwo mogę poruszyć ustami. Ale nie to jest ważne. Nic nie rozumieją. Muszą zrozumieć.

– Jestem taki jak wy! – charczę. Próbuję wycharczeć.

Zaciśnięta pięść opada na moją twarz. I jeszcze raz, i po raz kolejny. Padam na ziemię. Kopiać mnie. Coś pęka i tracę świadomość.

A później już nie wiem, chyba nie dzieje się nic ciekawego.